

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy relację XI-X-wiecznego podróżnika, oficera armii rosyjskiej Bronisława Grąbczewskiego oraz wspomnienia Jana Beliny, zesłańca z okresu drugiej wojny światowej, członka Związku Sybiraków. (red.)

\*

### ***Bronisław Grąbczewski – Kirgizi z doliny Wielkiego Altaju***

Topograf i podróżnik, generał armii rosyjskiej, ur. w 1855 r. w Kownatowie na Litwie, zm. w 1926 r. w Warszawie. Gdy ojciec jego Ludwik zesłany został na Syberię za udział w powstaniu styczniowym, majątek ziemski Grąbczewskich skonfiskowano a rodzina przeniosła się do Warszawy. Tutaj przyszedł podróżnik ukończył gimnazjum i rozpoczął służbę wojskową. W 1873 r. zdał egzamin oficerski w Petersburgu pozostając nadal na służbie w warszawskim pułku ułańskim. Rosyjska wyprawa wojenna w 1875 r. skierowała go do Kokandu w Azji Środkowej, potem uczestniczył w wyprawie altajskiej (1876) i samarkandzkiej (1878). Gdy Rosja zaważnęła Ferganę Grąbczewski związał się z pracą w miejscowej administracji wojskowej. Często wówczas podróżował i łącznie na terenie Azji Środkowej przebywał 21 lat (1875-1896), wykonując wiele ważnych misji z zakresu stosunków ludnościowych, topograficznych i

strategicznych. Sprawdzał np. wraz z delegatami rządu chińskiego linię graniczną między Ferganą a Kaszgarją, którą przebiegał kordon rosyjsko-chiński. Badał pasma górskie, ustalał bieg rzek, penetrował pod względem etnograficznym terytoria objęte pożogą wojenną, godził zwaśnione strony, gromadził okazy przyrodnicze, określał punkty triangulacyjne. Zbadał rozległe obszary Azji Środkowej – Pamir, część pasma górskiego Hindukusz, część Himalajów, płaskowzgórza tybetańskie. W 1896 r. przeniósł się na Syberię jako komisarz pograniczny nad Amurem, gdzie przebywał przez 4 lata. W 1899 r. otrzymał nominację na generalnego komisarza Kwantungu z rezydencją w Porcie Artura, gdzie urzędował do 1903 roku. Tam powierzono mu stanowisko gubernatora i atamana kozaków astrachańskich. W ciągu 4 lat 1903-1906 rządów na tym terytorium zjednał sobie mieszkańców kozackich stanic, występował przeciwko bezwzględnemu uciskowi biednych przez bogatych, ograniczał wymiar rządowego podatku, zakładał punkty felczerskie, racjonalizował pasterstwo i hodowlę. Gdy jednak zaprotestował przeciwko reformom społecznym, politycznym i agrarnym premiera Piotra Stołypina, przychylnemu się do jego prośby i otrzymał telegraficzne „pozwolenie” niezwłocznego wyjazdu za granicę. Wyjechał więc do Francji i Hiszpanii i przebywał tam do 1910 r., po czym wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie. Przez pewien czas pracował w Instytucie Meteorologicznym, zasadniczo jednak, zwłaszcza po 1918 roku nie stworzono mu w odrodzonej Rzeczypospolitej warunków do użytkowania wiedzy i doświadczenia. Czas i doświadczenia podróżnicze wykorzystał do opisanie azjatyckich podróży, dając czytelnikom szeroką panoramę wykonywanych zajęć, kreujących go na wielkiego podróżnika a także wnikliwego obserwatora kulturowej odmienności różnoplemiennych i różnojęzycznych społeczności. Traktują o tym książki: *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej* (1924); *Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus* (1925); *W pustyniach Raskemu i Tybetu* (1925); *Wspomnienia myśliwskie* (1925) i *Na służbie rosyjskiej, fragmenty wspomnień* (1926). Książki te stanowią zaledwie część jego dorobku poznawczego. Wiele rękopisów znajduje się w archiwum Towarzystwa Geograficznego w Sankt Petersburgu.

Materiał etnograficzny zawarty w tych książkach i rękopiśmiennych manuskryptach gromadzony był na uboczu podstawowych zajęć badawczych podczas mozolnych podróży. Mimo to technie on bogactwem realiów zwyczajowych i obyczajowych, a wartość jego we współczesnych studiach etnologicznych jest niewątpliwa. Był więc Grąbczewski doskonałym znawcą kultur ludów Azji Środkowej, z którymi obcował na co dzień, oddając się z zapałem poznawaniu osobliwości etnograficznych. Pomocna mu w tym była znajomość języków tubylczych – kazaskiego, uzbeckiego i tadżyckiego, a także wyrozumiałość i życzliwość względem różnoplemiennych mieszkańców obszarów środkowo-azjatyckich.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> N.M. Akramow, *Woprosy istorii, archieologii i etnografii narodow Pamira i Pripamiria w trudach B.Ł. Grombczewskiego*, Duszanbe 1974; N.M. Akramow, S.J. Abdurachimow, *Wkład polskiego uczonego B. Ł. Grombczewskiego w izuczenije lednikow Pamira: „Dzieje polskich, rosyjskich i radzieckich badań polarnych”*. Materiały III Symposium Polsko-Radzieckiego z Historii Nauk o Ziemi, Wrocław 1982; F. Chłapowski, *Podróż kapitana B. Grąbczewskiego w Środkowej Azji*, [w:] „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego”, 1891: 18, z. 1; M. Fleszar, *Rękopisy Br. Grąb-*



Cała dolina Altaju pokryta jest wspaniałą trawą. Nigdzie drzewa, nigdzie krzaczka. Nic tylko łąki alpejskie, które służą za wspaniałe pastwiska dla dziesiątków tysięcy jurt koczowników. Koczownicy ci dążą do tego Eldorada ze swymi stadami ze wschodniej i południowej Fergany zaraz po roztopach w dolinie przez wszystkie pięć przełęczy w paśmie Gór Altajskich. W miarę wznoszenia się upałów linia śniegów wznosi się coraz wyżej w góry, oswobadzając od śniegu coraz to nowe przestrzenie, które natychmiast pokrywają się świeżą, soczystą trawą. Na świeże pastwiska przenoszą się auły, wędrując coraz wyżej w góry, aż do września, tj. do pory, kiedy śniegi przestają tajać a linia wiecznych śniegów zatrzymuje się na 14 000 stóp n.p.m. Od końca sierpnia poczyna się powrót aułów na zimowe leże. W październiku spadają nowe śniegi i dolina Altaju, tak ożywiona w lecie, staje się pustynią. Dłużej od innych pozostają na Altaju właściciele ogromnych stad koni, które trudno jest wypaść w dolinie. Czasami nawet zimują w dolinie Altaju, przechodząc tylko ze wschodniej części na zachodnią, do Darat-Kurgana, gdzie dolina zniża się do 9000 stóp n.p.m., a gdzie prócz tego Góry Zaaltajskie i Altajskie zbliżają się ku sobie na 8 kilometrów. Jest tam dużo wąwozów, w których tabuny mogą się ukryć przed wichrem. Znam osobiście Kirgiza Ir Daulet Bija (Majestat ziemi), który miał 12 tabunów koni, po *kurumiu*, tj. po 800-900 sztuk w każdym, oprócz odpowiedniej ilości baranów, wielbłądów, krów itd. Kirgiz ten trzody swe wysyłał na zimę w dolinę Fergany, sam zaś, lubiąc konie, przebywał stale na Altaju, koczując razem ze swymi tabunami. Nie wiedział on jednak nigdy, ile koni posiada.

Przenosiny aułu z miejsca na miejsce – to święto: jurty się rozbiera i kładzie na wielbłądy pokryte jaskrawymi dywanami; na innych znowu wielbłądach umieszcza się cały dobytek, a więc pościel, ubranie, skrzynie zamczone, okute żelazem, które przy otwieraniu wydają dźwięki muzyczne itd. Wszystko to rozkłada się równomiernie, robiąc wygodne siedzenie. Potem mężczyźni i dzieci 5-6 lat siadają na koń i biorą do ręki sznury, przewleczone przez nozdrza wielbłądów. Kobiety zaś z małymi dziećmi na rękach i dziewczynki od 11-12 lat przywdziewają swe najparadniejsze kostiumy, zawsze jaskrawe, a często ze złotogłowia, głowy upiękuszają ogromnymi turbanami, szyję – koralami, które całymi pękami

---

*czewskiego w Towarzystwie Geograficznym ZSRR*, [w:] „Przegląd Geograficzny”, 1962: 34 ; B. Kowalski, *Bronisław Grąbczewski – polski podróżnik i badacz Azji Centralnej: „Wszechświata”*, 1978: 10; M. Marciniak, *Bronisław Grąbczewski jako badacz kultury ludów Azji Środkowej: „Kultura i życie społeczne Azji Środkowej”*, pod red. Zbigniewa Jasiewicza, Poznań 1983; B. Olszewicz, *Bronisław Grąbczewski, podróżnik polski po Azji Środkowej: „Naokoło Świata”*, 1926: 25; tenże; *General Bronisław Grąbczewski, polski badacz Azji Środkowej 1855-1926*, Poznań 1927; tenże, *Grąbczewski Bronisław: „Polski Słownik Biograficzny”*, 1960: 8; W. Słabczyński, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa 1974; W. i T. Słabczyńscy, *Słownik polskich podróżników*, Warszawa 1992; U.S. Umorzakow, *W sprawie działalności badawczej i praktycznej B. Grąbczewskiego w Azji Środkowej (1876-1897): „Historia rosyjsko-polskich kontaktów w dziedzinie geologii i geografii”*. II Polsko-Radzieckie Sympozjum, Leningrad 12 VI-19 VI 1972. Streszczenia referatów, Warszawa 1972. Pełny tekst referatu znajduje się w wydaniu rosyjskim *„Russko-polskije swiazi w oblasti nauk o ziemi”*, Moskwa 1975; S. Zieliński, *Mały słownik pionierów polskich kolonialnych i morskich. Podróżnicy, odkrywcy, zdobywcy, badacze, eksploratorzy, emigranci, pamiętnikarze, działacze i pisarze emigracyjni*, Warszawa 1932.

spuszczają się aż do pasa – i aul rusza w drogę. Im ród kirgiski jest bogatszy, tym wielbłądy są piękniej przybrane, dywany jaskrawsze a kobiety bardziej wystrojone i więcej mają koralu. Goszcząc raz w aule u bogatego Kirgiza rodu Juwasz, zauważyłem na szyi żony starszego syna, usługującej mi przy jedzeniu, korale wagi 38 funtów. Zdziwiony zapytałem, czy nie męczy jej noszenie takiego ciężaru. Spojrzała na mnie z takim zdziwieniem, iż zrozumiałem, że w jej pojęciu zadałem pytanie głupie, grzecznie jednak odpowiedziała: „Nie, ja je noszę bardziej na plecach niż ja szyi”.

Zwinięcie aulu i urządzenie się na nowej siedzibie odbywa się zdumiewająco szybko, i w 2-3 godziny na pustynnym miejscu wyrasta cała wioska kipiąca życiem; tam zaś, gdzie wrzało przed chwilą życie, pozostają tylko ślady ognisk. A jednak wystawienie jurty, szczególnie w ten sposób, żeby się mogła oprzeć wichrom górskim, wymaga niezwyklej umiejętności. Wielkość jurty i dobroć wołoków zależy naturalnie od dobrobytu właściciela; im Kirgiz jest bogatszy, tym ma jurtę większą i wołoki bielsze; jurt mniejszych niż 4 do 5 metrów średnicy nie stawia się wcale. Bywają jednak i ogromne. Raz zatrzymałem się na noc u pewnego bija (naczelnika) rodu Czum-bagysz, który mnie umieścił w swojej *michman-chana* (*michman* – gość, *chana* – pokój), która miała w średnicy 11 m. Była to prawdziwa sala balowa, zupełnie okrągła, jak wszystkie jurty w tym kraju, w odróżnieniu od szałasów Tybetańczyków i Kałmuków, namiotów arabskich lub czumów, koczowników Syberii, Goldów, Samojedów itd., które mają najrozmaitsze kształty, w zależności od klimatu i innych warunków.

Jurty zwykle są wysokie, znacznie wyższe od wzrostu człowieka, więc można w nich stać i chodzić wygodnie. Wołoki na nich układa się w ten sposób, że pośrodku zostaje okrągły otwór, który się pokrywa oddzielnym wołokiem *tundiuk* z przywiązanym do niego sznurem, za pomocą którego otwór przy pięknej pogodzie łatwo się ściąga a w razie deszczu zakrywa. Na zewnątrz, z wierzchu wołoków, jurty obwiązuje się bardzo szerokimi (25 cm) taśmami kolorowymi, wyrobu domowego, z grubej, ale misternie tkanej wełny. Wewnątrz jurtę zdobią dokoła maty z długiej trzciny, z których każda obwinięta jest nitkami różnokolorowymi; połączone razem i związane stanowią one wzorzystą matę, ładnie zdobioną wewnątrz jurty, którą prócz tego upiększa się różnokolorowymi frędzlami z wełny i misternymi festonami. Jurta średniej wielkości, a białej *koszmy*, przyzwoicie przybrana, kosztowała w owe czasy 200-250 rubli.

Podłogę jurty zaściela się cynówkami z trzciny; na to kładzie się gruby wołok, pokryty z wierzchu jaskrawym dywanem. Pośrodku jurty dołek, kilka kamieni stanowiących ogniska a nad nim żelazny, składany trójnóg, na którym wieszają się kocioł na żelaznych łańcuchach. Przy ognisku są miedziane *kumgany* do zaparzania herbaty. Zupełnie jedzą Kirgizi z drewnianych lub cynowych czarek; resztę potraw, jak mięso, ulubiony *palau-asz* z ryżu – palcami. Tak zresztą jedzą wszyscy, nie wyłączając miliardów-kupców, krajowcy Azji Środkowej. Kirgizi chleba prawie nie używają, a jeśli go jedzą, to w formie rwanych klusek (*bugursak*), smażonych w maśle lub na baranym tłuszczu, albo klusek, pociętych na cienki makaron, zalanych z lekka bardzo słonym bulionem. Mięso jedzą tylko w razie święta rodzinnego, przyjazdu znakomitego gościa lub choroby któregoś ze zwierząt domowych, jakie trzeba dorznać, żeby nie zdechło. Za najwytworniejsze uważa się mięso baranie, potem koninę, szczególnie żrebięcinę (kiełbasa z mięsa żrebięcego jest rzeczywiście wyborna), potem mięso wielbłądzie, na ostatku wołowe lub cielęce. Żyją więc Kirgizi przeważnie kumysem lub *ajranem*. Kumys przygotowuje się w ogromnym

worze skórzanym, do którego wlewa się wszelkie mleko, więc owcze, kozie, wielbłądzie, krowie i kobyle. Całymi dniami kobiety bełtają to mleko kijem, na końcu którego umocowany jest krzyż drewniany. Im dłużej i więcej mleko się bełcze, tym lepszy jest kumys. W każdym razie będzie to jednak kumys gorszego gatunku. Idealny kumys, na podarki albo na przyjęcie znakomitego gościa, przygotowuje się z czystego mleka kobyłego, bełcze się w ciągu co najmniej trzech dni: jest on gęsty jak śmietanka, koloru słomkowego, orzeźwiająco kwaskowaty. Wypity jednak w większej ilości powoduje lekkie upojenie, jak po wypiciu przy śniadaniu lekkiego białego wina francuskiego *gvare* albo *sauterne*.

W podróży konnych kumys – to napój nieoceniony, sytny i orzeźwiający. Worek skórzany *tursuk* z kumysem, przywiązany do siodła ze strony ocienionej, żeby go nie paliły promienie słoneczne, zaopatrzy podróżnego na kilka dni w jedzenie i picie, im więcej zaś kumys będzie się bełtał w *tursuku*, tym będzie lepszy i smaczniejszy. Naturalnie, tylko trzeba się przyzwyczaić do pewnego smaku skóry i dymu – jakiego napój ten nabiera od *tursuku* z nie wyprawionej skóry.

*Ajran* – mleko kwaśne, rozbeltane z wodą, stanowi jedynie pożywienie Kirgizów biednych, nie mających wielkich trzód; znajduje się on wszakże w każdym najbogatszym domu, jako napój do stałego użytku służby, dzieci i kobiet, na których ciąży wszelkie prace domowe. Mężczyźni całymi dniami siedzą, przykucnąwszy u drzwi jurty i gwarzą z sąsiadami. Młodzież pasie stada w górach, często o kilka kilometrów od aułu, strzegąc ich od wilków i innych drapieżników. Pastuchy pasą stada konno. W ogóle Kirgiz bez konia obejść się nie może i piechotą chodzić nie lubi. Przed jurtą każdego mniej więcej zamożnego Kirgiza zawsze stoi koń, osiodłany i przywiązany do białego w ziemię kołka. Biedne konisko krąży przy kołku bezradnie, bo ma powód od uzdy tak przymocowany do siodła, że ani schylić się po trawę, ani położyć się nie może.

Auły tego samego rodzaju kirgiskiego trzymają się jednej miejscowości i wzajemnie się bronią przed napadami bandytów i złodziei. Każdy ród kirgiski ma swój znak (*tawro*), zrobiony z żelaza, którym w sposób barbarzyński wypala na skórkach swoich zwierząt nigdy nie schodzące znaki. Znaki te rozstrzygają sporu w razie pomieszania się stad na wspólnych bezgranicznych pastwiskach oraz pozwalają rozpoznać przynależność zakwestionowanego zwierzęcia w razie kradzieży i odnalezienia go gdzieś daleko na rynkach Fergany. Można konia przefarbować, ale nie uda się zetrzeć wypalonego *tawra*.

Bezczynne życie, jakie prowadzą mężczyźni, powoduje ciągle odwiedzi-ny wzajemne i plotkowanie. Nowiny w tych bezmiernych stepach rozchodzą się z taką szybkością, jak u nas przez żydowską pocztę pantoflową. Kirgiz, choćby spieszył się w pilnej sprawie, spotkawszy drugiego, musi się zatrzymać i w kilka minut dowie się o wszystkim, co się dzieje w stronach, skąd jedzie spotkany i nawzajem, opowie mu wszystko o swoich stronach.

Kirgizi w ogóle są bardzo uczciwi i gościnni. Nie znam wypadku, by któryś z nich odmówił mi noclegu, nie napił chociażby kumysem albo *ajranem*, jeżeli nie mógł zabić barana lub kozy. Uczciwość kirgiska jest przysłowiowa. Pracując w administracji kraju i rozpatrując setki sporów, niejednokrotnie obserwowałem, jak dzieci lub wnuki zwracały dług swoich ojców lub dziadów, zaciągnięte na słowo... Pamięć przodków czci się z wielkim pietyzmem. Oprócz przyjęć w czasie pogrzebów, które zawsze były rujnujące dla spadkobierców,

najstarszy z rodu w rocznicę śmierci obowiązkowo urządza *toj*, które trwają zawsze co najmniej trzy dni i ściągają Kirgizów nie tylko z danego rodu, lecz w ogóle wszystkich chętnych. A że Kirgizowi nie zależy na przestrzeni, przeto siada na koń, przywiązuje do siodła *tursuk* kumysu lub *ajranu* i jedzie o 100-200 kilometrów, by pogwarzyć w Kirgizami z rozmaitych stron, wziąć udział w *bajga* lub popatrzeć na wyścigi.

*Bajga* – to narodowa zabawa kirgiska: polega ona na tym, żeby z konia porwać leżącego na ziemi zabitego kozła, unieść go z tłumu ubiegających się współzawodników, odciągnąć ich od siedzących gdzieś na pagórku na dywanie sędziów i, zmyliwszy wszystkich, przycwałować z kozłem znów przed sędziów i rzucić im go pod nogi. Za taką sprawność zwycięzca otrzymuje natychmiastową nagrodę w postaci jaskrawego chałata, który w tej chwili wkłada na siebie na wierzch ubrania, żeby wszyscy zebrani widzieli, iż on jest zdobywcą i roznieśli to po stepie. Kozła zaś chwytą z konia rywal, i szalona jazda przez kamienie i wyrwy, przy wzajemnym wyrzucaniu sobie kozła przez innych współzawodników rozpoczyna się na nowo.

Wyścigi u Kirgizów znane są tylko na długą metę, zwykle 40 kilometrów (*5 tasz*). Urządzają je oni w czasie wesela, śmierci albo obrzezania w rodzinach bardzo bogatych, gdyż kosztują drogo. W czasie oznaczonym na wyścigi (przeważnie jesienią, kiedy konie są najsilniejsze), posyła się zawiadomienie do całego rodu i do rodów pokrewnych przez wzięte żony albo oddane córki. W oznaczonym czasie zjeżdżają się wyścigowcy z wytresowanymi końmi. Konie te są małe, chude, z obwiązany szpagatem nogami i ogonami. Jeżdżą na nich malcy 12-14-letni. W dzień wyścigów, do których stają po kilkadziesiąt koni, ustawiają je do startu w miejscu określonym, zapisują i puszczają w bieg, przy czym po całej drodze gęsto rozstawieni są Kirgizi z rodu, który urządza wyścigi, a także z tych, którzy biorą udział w wyścigach; ludzie ci pilnują, żeby do pędzących nie przyłączył się ktoś w drodze albo zamienił zmęczonego konia. Na starcie jest jurta, w której siedzą sędziowie i wyczekują przybycia jadących, pijąc herbatę. Czasu, jak długo wolno być w drodze, nie oznacza się, bo nikt zegarków nie ma i nie zna się na godzinach. Kirgizi żyją według słońca i regulują życie podług 5 omówień (*namarów*), przypisanych przez religię.

Koło jurty sędziowskiej i dalej po drodze gromadzą się tłumy konnych, czekających na wyścigi. Opodal wszystkie wzgórza zajęte są przez kobiety z bliskich i dalekich aulów; przyszły one piechotą albo przyjechały z mężami i braćmi i nie mieszając się z tłumem zajęły miejsca na wzgórzach. Wreszcie słychać okrzyki patrzących, tętent biegnących koni i zjawia się pierwszy koń chwiejący się, zakrwawiony, z jeźdźcem, malcem ledwie żywym. Bardzo często konia tego ciągną za powód od uzdeczki dwaj inni jeźdźcy, co nie jest zabronione przez przepisy wyścigowe. Pierwsza wygrana zwykle jest poważna, bo składa się z 9 nagród po 9 sztuk. Więc 9 chałatów (1 ze złotej *parczy*, 1 ze srebrnej, 1 z aksamitu, 3 z sukna, 3 z jedwabiu), 9 wielbłądów, 9 koni, 9 krów i 45 baranów. Drugi i trzeci koń otrzymują już nie  $9 \times 9 = 81$  sztuk podarków, lecz tylko 9 sztuk, tj. jeden chałat, 1 wielbłąda, 1 konia, 1 wołu albo krowę i 5 baranów. Dalsze sześć koni otrzymuje tylko po jednym koniu, wielbłądzie albo krowie. Reszta nic.

Urządzenie takich wyścigów i przyjęcie w pierwszą rocznicę śmierci ojca rujnuje niektórych doszczętnie. Znam Kirgiza z rodu Czumbagysz, Mirzę Pajasa, człowieka bardzo porządnego, któremu ojciec, Dżarkien-Baj-Datcha (Datcha – ge-

nerał), zostawił 10 000 baranów, 200 koni, 60 wielbłądów, 120 krów itd. Po urządzeniu uroczystości pośmiertnych, odpowiednich do wysokiego stanowiska ojca, został goły, jak święty turecki...

Drugą nadzwyczajnie kosztowną rzeczą u Kirgizów jest ożenek, bo za żonę trzeba zapłacić kałym (wykup), który zależnie od znakomitości i bogactwa żony, dochodzi do takich sum, że nowożeńiec nieraz rujnuje się zupełnie.

Miałem jako stałego towarzysza swych włóczęg myśliwskich Mahomet-Seid-Tiura-Seidaa więc dokumentami stwierdzonego potomka Mahometa, przy tym siostrzeńca ostatniego chana kokandzkiego, Hudojar-Chana i jego *udajczy*, tj. adiutanta; wziął on za żonę jedną z córek Hudojar-Chana i zapłacił za nią kałymu 59 000 *tillej*, tj. dukatów złotych, sumę na ówczesne stosunki bajeczną, miliardową. Wypłacenie takiej olbrzymiej kwoty zrujnowało Mahomet-Sejda i zmusiło go do wyzbycia się nawet łowczych sokołów i jastrzębi, których był wielkim znawcą i miłośnikiem. Dodać muszę, że przyjaciel mój ożenił się z córką chana nie wtedy, kiedy Hudojar-Chan był u steru władzy, ale w 10 lat po zajęciu chaństwa przez Rosjan, kiedy, o ile pamiętam, Hudojar już umarł na wygnaniu w Rosji, córka zaś jego wniosła mężowi, jako wiano, tylko wielkopańskie przyzwyczajenia i prawo do używania tytułu „*Oim*”, tj. pani.

Transakcje matrymonialne u Kirgizów dokonują się zwykle pomiędzy rodzicami przyszłych małżonków, gdy ci są jeszcze niemowlętami, i od tego czasu poczyną się coroczna wpłata kałymu częściowo: byłem, pieniędzmi lub rzeczami. W razie śmierci jednego z narzeczonych, pozostały się żeni albo pozostała wychodzi za mąż za najbliższego krewnego. Byłem raz zaproszony na wesela bogatego Kirgiza z rodu Juwasz, którego 15-letni syn żenił się z 26-letnią wdową po bracie swego teścia tylko dlatego, że narzeczona jego umarła, a teść więcej córek nie miał.

Zdarzają się wypadki, że po zrobieniu transakcji i wypłaceniu części kałymu umiera narzeczonemu ojciec, a pogrzeb i w rok potem uroczystości pośmiertne tak rujnują narzeczonego, iż nie może on dalej wypłacać kałymu. Wtedy narzeczony likwiduje samodzielne gospodarstwo i razem z pozostałą częścią zwierząt domowych wstępuje na służbę jako prosty parobek do swego przyszłego teścia, przy czym należna mu pensja i przyrost od inwentarza żywego idą na opłatę kałymu. Narzeczony czasami dobrych 10 lat czeka i patrzy, jak jego przyszła się starzeje.

Koszta weselne ponoszą rodzice panny młodej i dają oprócz tego wiano, stosownie do swojej zamożności i znaczenia, jakie posiadają wśród ziomków. Wiano składa się zwykle z jurty, kilku dywanów, ze skrzyń okutych żelazem, z różnych sprzętów gospodarskich i z niewielkiej ilości zwierząt domowych. Resztę dodają rodzice pana młodego albo też młodzi żyją w biedzie, powoli dorabiając się lub wyczekując sukcesji.

Przywiezienie panny młodej z aulu rodziców do aulu pana młodego odbywa się z wielką paradą, na którą wylegają patrzeć mieszkańcy wszystkich okolicznych aulów, mówiąc, że taki *ujlandy* (*uj* – dom, *jurta*, *ujlandy* – zadowolony się). Na pierwszym wielbłądzie, przybranym w największy i najjaskrawszy dywan, siedzi panna młoda w ogromnym zawoju na głowie, w kilku najlepszych chałatach włożonych jeden na drugi, a jeżeli dostaje futro, to i w futrze pomimo lata. Na nogach ma buty z czerwonej albo z zielonej skóry, na szyi – niezbędne korale i im więcej, tym poważniej; z tyłu – skrzynia z ubraniami. Wielbłąda prowadzi konno ojciec lub inny poważny członek rodziny. Na drugim wielbłądzie,

także przykrytym dywanem, leży jurta, na niej zaś Kirgizka, wdowa – krewna lub stara służąca, która będzie matkowała na nowym miejscu pannie młodej, często mającej zaledwie 13-14 lat. Z tyłu – znów skrzynia. Dalej, według zamożności, albo idą jeszcze wielbłądy naładowane różnymi przyrządami gospodarskimi albo stadko inwentarza domowego, przy czym wszystkie konie, woły lub krowy są objuczone różnymi sprzętami gospodarskimi. Im więcej takich tobołków, tym lepiej wyposażona jest panna młoda przez rodziców. Orszak otacza konna kawalkada mężczyzn z aulu panny młodej.

W połowie drogi orszak spotyka pan młody w otoczeniu kawalkady konnej ze swego aulu. Wszyscy zsiadają z koni a pan młody ugaszca przybyłych kumysem i zaprasza do swego aulu. Państwo młodzi zajeżdżają do jurty rodziców pana młodego a panna młoda ze swoją Kirgizką i przy pomocy miejscowych kobiet stawia szybko na wskazanym jej miejscu swoją jurtę i ustawia to, co przywiozła ze sobą.

Kiedy wszystko jest gotowe, panna młoda staje u drzwi i czeka męża, któremu towarzyszą do jurty wszyscy, co go odprowadzali i spotykali. Goście wchodzi do jurty, siadają rzędem przy ścianach na dywanach, po czym ukazuje się kobieta z *kumganem* (rodzaj wschodniego imbryka z miedzi, zawsze misternie cyzelowanego) z ciepłą wodą w jednej i miedniczką w drugiej ręce, kłania się gościom po kolei i wylewa parę kropli ciepłej wody na podstawione palce każdemu. Gość wyjmuje zza pasa brudną chusteczkę i wyciera w nią zwilżone palce. Następnie kobieta wychodzi obsłużony w ciągu paru minut 30-40 gości. W ten sposób przypisane przez religię obowiązkowe mycie rąk przed jedzeniem jest skończone.

Goście pożądliwie spoglądają na drzwi jurty. Wchodzi młoda dziewczyna z *dastarchanem* (obruszem), który rozściela na ziemi przed klęczącymi gośćmi. Jest to zwykle kawał perkalu jaskrawego, nie prany od czasu nabywania i noszący ślady wszystkich potraw, które na nim spożywano. Następnie wchodzi szereg kobiet; wnoszą one miedziane misy z mięsem i tacki blaszane z *dastarchanem*, na których cienką warstwą rozsypane są pistacje z rodzynkami, czasami pomieszane z cukrem, drobniutko porąbanym. Misy stawia się symetrycznie pośrodku każdej piątki lub szóstki. Goście szybko się orientują czy misa przeznaczona jest na piątkę albo na szóstkę, i te piątki lub szóstki uprzejmie zwracają się ku sobie twarzami, tworząc półkole, w środku którego stoi misa z mięsem.

Najpoważniejsi wiekiem i stanowiskiem goście zajmują miejsca pod ścianą jurty, wprost drzwi wchodowych. Przed nimi, oprócz misy z mięsem, stawia się jeszcze jako przysmak głowę ugotowaną podawanego zwierzęcia. Gdy wszystko ustawiono, kobiety z ukłonami, milcząc, cofają się ku drzwiom i znikają. Wszczynać jakkolwiek rozmowę z usługującymi kobietami byłoby nieaktownie, który wywołałby ogólne oburzenie.

Kirgizki nie zakrywają się przed obcymi, ale prawo muzułmańskie jest prawem: kobieta powinna znać swoją rolę pracującej całe życie niewolnicy. Rozmawiać z Kirgizką można tylko w poufnym otoczeniu, w obecności najbliższych krewnych i tylko o przedmiotach poważnych, i aktualnych dla danej

chwili. Każdy żart i śmiech, wielomówstwo byłoby źle przyjęte i przez kobietę i przez obecnych.\*

\*

### **Jan Belina – *Ucieczka z kopalni***

Małe dziesięcioletnie powiatowe miasto Stołpce, miejsce mego urodzenia, znajdowało się daleko od areny działań wojennych. Położone kilka kilometrów od granicy ze Związkiem Radzieckim, nad malowniczym i pięknym Niemnem, zamieszkałe w równej części przez Polaków, Białorusinów i Żydów, było typowym miasteczkiem powiatowym Kresów Wschodnich. To, że było w nim dużo Polaków, zawdzięczać należy siedzibie 5-go Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza. Mieszkałem wraz z ciotką Werką w wybudowanym w 1934 roku domu. Ojciec Bronisław wraz z mamą Marią przyjeżdżali do Stołpc tylko na wakacje. Do 1937 roku ojciec pracował w konsulacie RP w Kijowie, a później w MSZ w Warszawie, gdzie wynajmowali mieszkanie (wcześniej, w 1918-1920 roku walczył z bolszewikami w oddziałach gen. Bałachowicza).

Urodziłem się w 1927 roku, w czerwcu 1939 roku kończyłem V klasę szkoły powszechnej. Wakacje spędzałem z rodzicami w Stołpcach. Ojciec po postrzale prawej ręki był na urlopie wypoczynkowym i zdrowotnym. Większość dni spędzaliśmy nad wodą łowiąc ryby. Dwa razy w tygodniu chodziłem na zajęcia organizowane przez Ligę Obrony Powietrznej Państwa. W lipcu rozpoczęły się przygotowania do wojny. Kopaliśmy rowy przeciwlotnicze, przygotowywano zaciemnienie okien, szkoliliśmy się w obronie przeciwchemicznej i udzielaniu pomocy sanitarnej. Co bardziej zapobiegliwi zaczęli robić suchary i weki z wędlinami i mięsem. Dała się zauważyć zwiększona aktywność Białorusinów. Działała bowiem w Stołpcach organizacja komunistyczna, na której czele stał prawdopodobnie Szczors, nasz sąsiad. Żydzi wykazywali jak gdyby zmniejszoną aktywność, stali się bardziej uprzejmi.

Wybuch wojny odczuliśmy tylko poprzez mobilizację i przerzuty wojsk stacjonujących w Stołpcach. Od kilku dni słychać było bombardowanie Baranowicz, a wieczorami widać było łuny pożarów na zachodzie. Docierały wiadomości o szkodach poczynionych przez naloty bombowe na w Baranowicze. W Stołpcach wzmocniono ochronę obiektów państwowych oraz dwóch mostów: kolejowego i pieszego, który był drewniany. Mosty te stanowiły jedyną przeprawę przez Niemen. Rankiem 17 września, gdy słońce dopiero wschodziło obudziła mnie strzelanina dochodząca od strony granicy rosyjskiej. Pierwszą czynnością, którą wykonałem wobec takiej sytuacji było zawiadomienie członków mojej „drużyny” LOPP i zorganizowanie zbiórki. Tak jak i ja zostali oni obudzeni i sami przybiegli do mnie z pytaniem: co robić? Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że pobiegniemy w kierunku strzelaniny. Była to typowa młodzieńcza fantazja.

Nie dane było nam nawet dojść do lasu. Przed nim zostaliśmy bowiem zatrzymani przez patrol, składający się z ośmiu kawalerzystów. Ubrani byli w płaszcze dziwnego koloru, a na głowach mieli dziwne czap-

---

\* Podstawa relacji: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924. Publikuje się fragment (s. 18-31).

ki koloru szarego. Czapki miały sterzcący ku górze „palec” i wielkie czerwone gwiazdy. Uzbrojeni byli w karabiny i szable. Podoficer kierujący zwiadem nie miał karabinu, trzymał pistolet. Później podjechały trzy tankietki. Dowódca patrolu rozpytywał o sytuację w mieście. Po otrzymaniu od nas odpowiedzi, posadzili nas przed sobą na konie i pojechaliśmy w kierunku miasta. Po drodze zapytaliśmy ich: „czy pomagacie Niemcom?” – odpowiedzieli: „pokażem Niemcom, gdzie jahodki zimują”. Uznaliśmy ich więc za sprzymierzeńców w walce z Niemcami. Miasto opanowano bez wystrzału. Wojsko, którego została garstka, wycofało się wcześniej na zachód, mówiono, że w kierunku Litwy. Wcześniej też opuścili miasto wyżsi urzędnicy starostwa wraz ze starostą, emerytowanym generałem Adolfem K. Jastrzębskim. Daleko nie odjechali, bo za kilka dni widzieliśmy, jak wieźli generała aresztowanego. Wieźli też na wschód aresztowanego księcia Radziwiłła.

O ile wojsko opuściło miasto bez wystrzału, o tyle nie sposób nie wspomnieć o bohaterze tamtych dni, który do dziś pozostaje na ustach żyjących mieszkańców Stołpc – jakim był zwykły łapacz psów – hycel (nazwiska nie pamiętam). My, dzieci, znaliśmy go jako łowcę psów, objeżdżającego powiaty całej Nowogródziny. Od ojca wiedziałem, że był wielce zasłużony w walkach o odzyskanie niepodległości. Służył pod rozkazami gen. Żeligowskiego. W kłapie jego marynarki była miniaturka Krzyża Virtuti Militari. Za mostem wiodącym przez Niemen, gdzie droga szła pod górę i w wykopie, na samej górze Sieniawa – hycel ustawił karabin maszynowy i tam spotkał wyzwolicieli. Strzelaninę słychać było około pół godziny. Później opowiadano, że walczył do ostatniego naboju i popełnił samobójstwo.

Tego samego dnia zorganizowano na rynku wiec. My, pobiegliśmy tam z ciekawości. Spędzili dużo ludzi. Większość szła ze spuszczoneymi głowami. W sercach Polaków panowała żaloba. Pierwszy przemawiał Szczors, późniejszy szef powiatu. Dziękował władzy sowieckiej za wyzwolenie oraz wzywał do przejmowania obiektów komunalnych, jak: elektrownia. Wzywał też do zajmowania ziemi polskich osadników. Po nim przemawiał jakiś oficer. Plótł o braciach w niewoli, o obszarниках, o wolności, dobrobycie i równości u nich. Wszystko to miał napisane na kartce.

Szczególnie serdeczne powitanie dla „oswobodzicieli”, zgotowali Białorusini i biedniejsi Żydzi. Wyjątek wśród bogatych Żydów stanowił Mirski. Po powitaniach nastąpił podział stanowisk między Białorusinami a Żydami. Żydzi obsadzili stanowiska w milicji i prokuraturze. Główną postacią wśród Żydów był miejscowy bogacz, Mirski. Codziennie można było go spotkać, jak udawał się do pracy w NKWD, które mieściło się w gmachu sądu powiatowego. Sąd był bowiem zbyteczny. Sądzone bez sądu. Wyroki wydawało NKWD. Bez Mirskiego nie odbyło się żadne aresztowanie zaniejszych obywateli miasta. W 1945 roku przebywając w Stołpcach spotkałem Mirskiego w mundurze ppłk. NKWD, a w okresie rządów Nikity Chruszczowa i masowych wyjazdów Żydów z ZSRR, mój brat cioteczny spotkał go w Łodzi.

Do milicji wstąpiło dużo kryminalistów. Zaczęły się samosądy i denuncjacje. Aresztowano ludzi tylko za to, że byli Polakami. W okolicach Stołpc dokonywano samosądów na policjantach i gajowych. Załatwiano przy tym porachunki osobiste. Wszystko na konto wyzwolenia. Od 18 września w obiegu

były dwie waluty: złoty i rubel i tak miało być do końca 1939 roku. Inną działalnością okupanta było wywożenie mienia zagrabionego z instytucji państwowych i samorządowych oraz z domów polskich, których mieszkańcy wyjechali, względnie byli u swych krewnych. Wywożono wszystko. Meble, maszyny do szycia, odzież, sprzęt gospodarstwa domowego, urządzenia biur itp. Ogołoco całkowicie magazyny wojskowe i nasze sklepy. Wykupiono wszystko, co tylko było, głównie kupowały żony oficerów sowieckich. Już od pierwszych dni „wolności” przed sklepami z pieczywem tworzyły się kolejki. Chleba brakowało, ponieważ  $\frac{3}{4}$  piekarń pracowało na potrzeby wojska. Brak cukru i innych artykułów spożywczych spowodował, że rozwinął się przemysł. Liczne grupy chodziły do centralnej Polski i przynosiły sacharynę i inne towary. Braki nafty uzupełniano benzyną kupowaną od żołnierzy. Trudno było o produkty rolnicze. Trzeba było jeździć po nie na wieś do rodziny. Ziemniaki mieliśmy w piwnicy na całą zimę. Babcia, która miała parę hektarów ziemi, miała zapas mąki i sama piekła chleb. W domu babci byli zakwaterowani żołnierze, twardogłowi, komсомolcy, bezgranicznie pewni swej wyzwolicielskiej misji. Z podoficerami dyskusje przy kieliszku prowadził mój dziadek. Z tych dyskusji wynikało niedwuznacznie, że zajęcie tej części Polski było wcześniej zaplanowane. Mówili też o ciężkiej sytuacji materialnej tam u nich.

Spokoju nie było. Rozpoczęły się aresztowania i rewizje. Rodziny polskie żyły w ciągłym strachu. Zabierano w nocy i odwożono do siedziby NKWD. Tam też można było spotkać rodziny aresztowanych. W pierwszej kolejności aresztowano policjantów, wyższych urzędników państwowych, samorządowych oraz osoby, na które wskazała nowa władza ludowa. W następnej kolejności zabierali leśniczych, gajowych, urzędników starostwa, sędziów i prokuratorów. W lutym zaczęły docierać do nas wiadomości o masowych wywózkach całych rodzin na Syberię. Zrozumieliśmy, że Rosjanie zaczęli realizować plan zmian demograficznych na tych terenach, zemstę za rok 1920.

W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku obudziło nas walenie w drzwi i ujadanie psa. Wkroczył Żyd Mirski w asyście dwóch żołnierzy NKWD. Oświadczył, że decyzją władz sowieckich zostajemy ze Stołpc wysiedleni jako element „niebłagonadiożnyj”. Nie legitymował nas, gdyż znał nas dobrze. Dał nam dwie godziny na spakowanie się. Byliśmy przygotowani na to, że możemy być wywiezieni (część rzeczy mieliśmy już zapakowanych, ale to nocne najście tak zdenerwowało matkę, że nie mogła pakować. Ja zająłem się bratem Ludwikiem, który dwa dni przedtem ukończył roczek. Nie pozwolono rodzicom matki, którzy mieszkali obok, ani jej siostrze pomóc w pakowaniu. Widziałem za oknem chodzącego żołnierza z karabinem na ramieniu. Gdy matka zajęta była karmieniem brata, Mirski dokonywał „przeгляdu mieszkania”. Czego szukał, domyślałem się. Otóż przed wojną, gdy przychodził do ojca, widział i podziwiał pistolety skałkowe oraz broń ręczną. Tego w czasie rewizji przy aresztowaniu ojca nie znaleźli ale o to zapobiegliwy Mirski wówczas nie pytał. Szukał wszędzie, nawet na strychu w trocinach. Znalazł jakieś przedmioty i skonfiskował je, nie wiem, co to było, bo włożył do torby. Żołnierze zachowywali się jak manekiny. Przez cały czas nie powiedzieli ani słowa. Po załadowaniu nas na ciężarówkę, okazało się, że była tam już rodzina kierownika elektrowni, pani Masza-Rymaszewska z dwojgiem małych dzieci. W ładowaniu na samochód pozwoło-

no pomóc rodzinie matki, która w czasie „wizyty” Mirskiego stała na podwórze przy parkanie.

Na dworcu kolejowym, przy peronie szerokotorowym, gdzie zatrzymały się pociągi dalekobieżne z Moskwy, stał skład wagonów towarowych, otoczonych silną eskortą wojskową. Załadowano nas do jeszcze pustego wagonu. Zajęliśmy górną pryczę przy oknie, jeżeli można to nazwać oknem – krata i na zewnątrz zabite deskami. W ciągu kilku godzin ładowano mieszkańców Stołpc, okolicznych miasteczek i wsi. Było nas w wagonie około 30 osób, i o tyle różniej, jeżeli tak można powiedzieć, że pojedziemy w nieznaną ze znajomymi. Postanowiliśmy nie dać się rozłączyć.

Rano przyszły moje ciocie. Ciocia Werka krzyknęła do mamy, żeby podała jej mojego brata Ludka. Chciała w ten sposób zapobiec wywiezieniu rocznego dziecka i ulżyć nam w tułaczce. Mama podała brata. Spostrzegł to oficer NKWD. Wyrwał go z rąk ciotki i rzucił w otwór drzwiowy wagonu. Tylko refleks mamy spowodował, że nie upadł on na podłogę wagonu. Ciotkę aresztowano. Od tej pory aż do odjazdu drzwi były zamykane i nie pozwolono nam z nikim się widzieć. Każdy wagon miał z tyłu budkę, w której siedział żołnierz z karabinem. Na ostatnim wagonie i na węglarce ustawione były karabiny maszynowe typu „Maksim”. Okna w wagonach zakratowane i zabite deskami. W środku dwie prycze i otwór kloaczny. Wagon brudny, nie umyty, ani zdezynfekowany po niedawnym transporcie kradzionego z Polski bydła. Drzwi zamykane na rygiel. Nazajutrz ruszyliśmy. Rozpoczął się nowy okres w moim 13-letnim życiu. Nie było piecyków i w nocy było strasznie zimno. Poprzeziębiały się dzieci. Ich leczeniem zajęła się Maria Lewandowska, która pakując mienie nie zapomniała o lekarstwach.

Raz dziennie na przystankach otwierano drzwi i pozwalano jednej osobie z wagonu udać się z wiadrami po „kpiatok”. Świat oglądałem poprzez szpary w deskach, poszerzone trochę nożem. Oglądałem więc mijane stacje i wiedziałem, gdzie jesteśmy. Mijały dni. Zaczął doskwierać głód, gdyż skończyły się zapasy pieczywa. W Orszy staliśmy dłużej na boczniczy. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi i podoficer z konwoju kazał trzem osobom z wagonu wziąć kubły lub inne naczynia i udać się po „goriaczaju piszczu”. Wartownik zaprowadził nasze kobiety do kuchni. Wróciły do wagonu i przyniosły dwa wiadra wypełnione kaszą perłową bez grama tłuszczu oraz pięć bochenków chleba. Chleb zawierał znaczną ilość kartofli, trafiały się kawałki dobrze nie rozgniecione. Masza Ry-maszewska otworzyła słoik z zalaną tłuszczem kielbasą i okrasila kaszę, tak więc mieliśmy jak na te warunki, dobry obiad. Chleb dozowaliśmy, szczególnie dbając, aby miały go dzieci. Gdy minęliśmy Ural, kobiety zaczęły płakać. Zorganizowano mały ołtarz i wszyscy zaczęli odmawiać różaniec. Na mijanych stacjach tamtejsi mieszkańcy z zainteresowaniem przyglądali się tajemniczemu, strzeżonemu transportowi. Widocznie byli poinformowali, kto w nim jedzie, bo co poniektórzy wymyślali nam od „polskich panów”.

Ostatniego kwietnia pociąg zatrzymał się na stacji Pietropawłowsk w północnym Kazachstanie. Dano nam obiad i po kawałku chleba. Tym razem mieliśmy nieokraszoną kaszę jaglaną. Przenocowaliśmy w wagonach. Rano o świcie kazano opuścić wagony. Do rampy podjeżdżały samochody ciężarowe, oficer odczytywał nazwiska i ludzie ładowali się do ciężarówek. A więc, kto i gdzie ma się znajdować, ustalono odgórnie. Nasza ciężarówka, stary zdezelowany ZIS-5, ruszyła w kierunku stepu. Stłoczeni, siedząc na naszym mieniu przesie-

dleńczym, udaliśmy się w tę podróż w nieznane. Wielu z tej podróży nie sądziło, że wrócić. Zaraz za Pietropawłowskim oczom naszym ukazała się bezkresna równina. Jak okiem sięgnąć wokoło, o tej porze roku szarożółty step. Polna droga powodowała, że pęd samochodu wzbijał tumany kurzu, który pokrył nasze toboły i walizki. My też wyglądaliśmy nie lepiej.

Minęliśmy parę wsi i przybyliśmy do osady powiatowej o nazwie Marjewka (na północny zachód od Pietropawłowska, nad rzeką Iszym). Od niej 50 kilometrów nie spotkaliśmy już żadnego osiedla i dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, wioski odległej od Pietropawłowska około 250 kilometrów – Kriszczenka. Wieś położona była na lewym, wysokim brzegu rzeki Iszym. Na tym odcinku, przez około 8 kilometrów, rzeka płynęła wśród skał. Rzeka głęboka i rybna. W dwóch miejscach tylko latem można było przez nią przejść. Były to rozlewiska o silnym prądzie. Połączenie z drugim brzegiem zimą odbywało się po lodzie, a latem promem. Urządzenie zwane promem – bardzo prymitywne. Naciągnięta lina i prom uruchamiany ręcznie, poprzez ciągnięcie go po stalowej linie rękami. Wioska składała się z trzech ulic, biegnących równoległe do rzeki. Przy środkowej, centralnej ulicy znajdowały się: biuro gminnej rady (sielsowiet), biuro kołchozu, ośmioklasowa szkoła oraz sklep wielobranżowy. Ulica najdalej położona od rzeki była krótka i miała tylko kilka domów. Najbardziej zabudowaną ulicą była ta, która znajdowała się najbliżej rzeki. Około 5 kilometrów w górę rzeki stał młyn wodny, a jakieś 300 metrów od górnej ulicy znajdował się wiatrak.

Samochód zatrzymał się w centrum wsi, przy biurze kołchozu. Zebrało się wokół nas sporo mieszkańców wsi. Chcieli zobaczyć wrogów narodu rosyjskiego – „polskich panów”. Wśród nich byli i przyjaźnie do nas nastawieni. Chociażby stary Kononienko, zwany przez wszystkich „dieduszka”, zesłaniec. Były też dwie rodziny polskiego pochodzenia, nie mówiące już po polsku. Zaraz też rozwieziono nas na tymczasowe kwatery, do różnych rodzin. Oświadczono nam, że w ciągu najbliższych tygodni należy pobudować się, względnie znaleźć sobie mieszkanie. Plac na budowę przydzielił kołchoz. My trafiliśmy do rodziny Panomarienko. Za to, że nas przyjęli, musieliśmy odchodząc zapłacić.

Po kilku tygodniach za firanki i inne zbędne rzeczy kupiliśmy od Kazacha starą zrujnowaną ziemiankę, nie zamieszkałą od lat. Remont trwał dwa tygodnie. Pomagały przy tym inne polskie rodziny oraz Kazachowie, nasi sąsiedzi. Remontu wymagał dach, wewnętrzne ściany oraz sień przylegająca z dwóch stron do ziemianki. Ponadto należało wykonać piec, tzw. „grubę” do gotowania posiłków i ogrzewania. Znajdujący się tam ruski piec pochłaniał dużo opału i nie nadawał się do palenia w nim słomą. Używaliśmy go wyłącznie do pieczenia chleba, a że później nie mieliśmy tyle mąki, żeby piec chleb, więc stał on niepotrzebny. Do wykonania „gruby” potrzebna była cegła. Cegielnię uruchomiliśmy nad rzeką, w miejscu, gdzie była piaszczysta łacha, a wysoki brzeg był gliniasty. Formę na dwie cegły zrobiliśmy z desek i wyprodukowaliśmy tyle cegieł, ile było potrzeba dla nas oraz innych Polaków.

Ziemianka znajdowała się na skarpie, w odległości 150 m od rzeki. Od ulicy zagłębiona była około 1,4 m w ziemi, a z przeciwległej strony miała podłogę równą z poziomem ziemi i opadającą ku rzece. W ziemiance były dwa pomieszczenia. Za ściankę działową służył piec ruski oraz wybudowana przez nas „gruba”. Wymiary ziemianki: 5 m na 3 m. Pierwsze pomieszczenie mniejsze,

drugie większe. Podłoga – klepisko z gliny. W jednej i drugiej części ziemianki były przyce wykonane z desek znalezionych nad rzeką, po powodzi. Z takich też desek był stół, zydel oraz dwa taborety. Za materace służyły sienniki wypchane słomą. W ziemiance były trzy okna 80 x 60 cm. Dwa od ulicy, równo z ziemią, a trzecie od drogi prowadzącej nad rzekę znajdowało się trochę nad ziemią. Nad oknami był już sufit – dach z wikliny, z zewnątrz wyłożony darnią, a od wewnątrz otynkowany gliną.

Po wyremontowaniu ziemianki, wprowadziliśmy się do niej z Maszą Rymszewską i dwójką jej dzieci. My zajęliśmy większe pomieszczenie, a pani Masza mniejsze. Nasz pokój służył także do zabaw dla dzieci oraz jako jadalnia i kuchnia. Po przeprowadzce przystąpiliśmy do drugiego etapu budowy. W dni wolne od pracy i wieczorami remontowaliśmy sień stanowiącą na Syberii nie mniej ważną budowlę niż ziemianka. Sień otaczała ziemiankę z dwóch stron, od rzeki i od strony drogi prowadzącej do rzeki, i była na okres zimy magazynem opału. Zbudowana była z wikliny i „otynkowana” gliną zmieszaną z łajnem krowim. Trzeba było naprawić dziury, przez zaplecenie ich nową wikliną oraz otynkowanie. Materiał do tynkowania przyniosłem z kolchozowej obory nocą. W połowie „gruby” wmurowany był kocioł emaliowany, który służył dla dwóch rodzin do gotowania. W kolchozowym sklepiku kupiliśmy i kocioł, i jeszcze dwa garnki żeliwne do gotowania w ruskim piecu. Drzwiczki do paleniska zrobiłem z blachy ze starej beczki, a za ruszty posłużyły pręty ze złomowanej młockarni. Kanały dymne były tak skonstruowane, aby można było palić słomą i różnymi badyłami, a ciepło nie uciekało od razu do komina, lecz ogrzewało miejsce do spania na piecu.

We wrześniu i październiku robiliśmy także zapasy żywności, gdyż nasze rzeczy, które mogliśmy przeznaczyć na wymianę za żywność, już się skończyły. Ostatnią wymianę zrobiliśmy za walonki. Zbierałem i suszyłem jagody czeremchy oraz szyszki chmielu, z którego wytwarzało się drożdże (zaparzało się szyszki, a wywar mieszało z otrębami, które po wysuszeniu stanowiły winne drożdże). Po jagody czeremchy i po chmiel chodziłem w dół rzeki około 5 km. Tam w wąwozie rosły krzaki czeremchy, a na nich powoje chmielu. Miejsce to wynalazłem w czasie wędkowania. Ponadto na skałkach zbierałem gorzkie migdały. Wyprawa po migdały była bardzo niebezpieczna. Po pierwsze groziła upadkiem ze skały, a po drugie było się narażonym na ataki orłów stepowych lub „berkutów” (coś w rodzaju naszych sokołów, używanych przez Kazachów do polowań), które tam miały swoje gniazda. W deszczowe popołudnie, a czasami i w nocy chodziłem na ryby.

W szkole przyjęto mnie do szóstej klasy, mimo braku świadectwa rosyjskiego o ukończeniu klasy piątej (uznano świadectwo polskie). Ze względu na słabą jeszcze znajomość rosyjskiego, brak akcentu, narażony byłem na częste prześmiewki. Gdy jednak zorientowali się, że jestem dobry z przedmiotów ścisłych, zmienił się ich stosunek do mnie. W szkole uczono trzech języków: rosyjskiego, kazachskiego i niemieckiego. Poza tym już od piątej klasy obowiązywał przedmiot tzw. „wojennoje dzieło”, czyli obronność. Chodząc do szkoły w dzień, w nocy cząwszy od listopada do marca pełniłem „funkcję” pomocnika stróża na bazie.

Zbliżała się pierwsza dla nas zima syberyjska. Oczekiwaliśmy jej z niepokojem i trwogą. Dużo do zawdzięczenia mieliśmy staremu Kononience –

„dieduszcze”. On to wprowadził nas we wszystkie tajniki życia na kazachstańskich stepach, i walki z głodem i chłodem. W pierwszych dniach listopada spadł śnieg i leżał już do wiosny. W połowie listopada ziemiankę zawiał śnieg. Wejście do niej musieliśmy nieraz kilka razy dziennie odkopywać. Do domu wchodziło się kilkumetrowym tunelem. Klimat północnego Kazachstanu jest typowo kontynentalny. Lata suche i gorące, a zimy śnieżne i mroźne. Zima zaczynała się w pierwszych dniach listopada i trwała do marca. Mrozy wahały się w granicach od 20 do 40 stopni C, a bywało i zimniej. Wiały silne wiatry – „buriany”. Duże opady śnieżne i „buriany” powodowały zawiewanie całych osiedli. Wówczas też nie zalecano oddalać się od osiedla bowiem padający śnieg i silne wiatry powodowały dezorientacją w terenie, a to groziło zabłądzeniem i nawet śmiercią wśród śniegów.

Pod koniec marca następowała wiosna i śnieg nagle topniał. Było to przyczyną powodzi na południe od nas. Do nas tylko napływały na krach rozwalone domostwa i inny dobytek tamtejszych mieszkańców. W kwietniu jechało się już orać. Nasza odzież nie była przystosowana do tych warunków. Parę używanych walonek otrzymaliśmy od Kazachów za jakieś tam rzeczy, były w dobrym stanie i służyły mi do końca pobytu. Zelowane raz na rok. Zelówki robiło się z innych, starych, nie nadających się do noszenia walonek, też otrzymanych w drodze wymiany towarowej. Sposób i technikę naprawy i zelowania opanowałem szybko, podglądając, jak to robią miejscowi. Ojcowski kozuch nieznacznie się skróciło, a rękawy podwinęło i stanowił dla mnie przez cały okres pobytu jedyną okryj białą.

Pierwsza zima była straszna. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich mrozów i silnych wiatrów. Przy tych mrozach idąc pod wiatr po wodę do rzeki, nie było się w stanie oddychać. Powietrze zamarzało w płucach. Trzeba było się zatrzymać i złapać powietrze. Ale pierwszy okres przetrwało się łatwiej, bo byliśmy odżywieni, mieliśmy co przehandlować na żywność, przyjechaliśmy wiosną i mieliśmy czas na przygotowanie się do zimy.

Rok 1941 rozpoczął kilkuletni okres walki o przetrwanie. Wszystko było sprzedane, a pieniądze, jakie mieliśmy, też się skończyły. Odzież przystosowaliśmy do przenoszenia kradzionego zboża. My, sypaliśmy w nogawki kalessonów, a kobiety miały uszyte woreczki, które zawieszały u szyi. Teraz staraliśmy się o przydział pracy przy zbożu, gdyż pracując na bazie, nie miało się takich możliwości. Kradnąc zboże naraziliśmy się na surowe kary, włącznie z aresztowaniem i wywiezieniem w inne miejsce. Z jęczmienia sporządzano kawę, a z prosa – kaszę jaglaną. Plew, jakie pozostały po obróbce prosa, nie wyrzucało się, lecz dodawało do nich trochę mąki i piekło placki. Były gorzkie, ale cóż robić, zawsze to był pokarm i oszczędzało się mąkę, którą produkowaliśmy na żarnach wykonanych przez Olka Kucharczyka. Brak żywności powodował, że przetwarzano różne zielska. Z pokrzywy, po jej kilkakrotnym parzeniu, robiono zupę szczawiową. Z parzonej lebiody – szpinak. Zbierano na stepie grzyby trujące, które jedliśmy po kilkakrotnym parzeniu. Raz w tygodniu, kiedy były sprzyjające warunki, wybieraliśmy się na polowanie w stepy. Przy odrobinie szczęścia złowiło się susła albo chomika. Wówczas była uczta. Chodziliśmy też na skaliste brzegi rzeki, gdy się udało dotrzeć do gniazd, przynosiliśmy jaja ptasie. Gorzej było z odzieżą, szczególnie zimą. Raz otrzymaliśmy przydział

spodni watowanych i kufajki, gdy pracowałem zimą jako stróż siana. Czapkę uszyła mi mama ze skóry zabitego latem lisa.

Wybuch wojny z Niemcami znacznie pogorszył naszą sytuację. Do wojska zabrano prawie wszystkich mężczyzn. Zabrano wszystkie dobre konie. Spichlerze ze zbożem opróżniono. Zapanowała niesamowita bieda. Zaostrzono rygor w pracy. Za nieobecność w pracy bez względu na przyczynę, potracano „trudodni”. W połowie 1941 roku wstrząśnięci zostaliśmy aresztowaniem przez GPU dwóch sióstr Neli i Jadzi Kucharczyk. Jak się później okazało, podstawą do ich aresztowania był napisany przez nie „kontrewolucyjny” wierszyk. Pierwsza zwrotka tego wierszyka brzmiała:

Siedzi Święty Piotr przy bramie  
O rety!  
I zajada sobie z sosem kotlety.  
Wtem to brama jak zazgrzyta,  
Ktoś za talerz Piotra chwyta,  
Polacy z Sybiru, Polacy!

Każda wizyta u nas wojskowego w czapce z denkiem niebieskim (GPU) lub zielonym (NKWD) napawała ludzi trwogą, nawet miejscowych – po co przyjechali i ewentualnie, po kogo. Niezależnie od NKWD czy GPU strzec musieliśmy się i przed miejscowymi sługusami. Do takich należał między innymi nasz brygadzysta młody Kononienko. Szczególną radość miejscowym sprawiało śpiewanie przez nich piosenki: „Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany, konnoarmiejskije naszyje klinki”. Przychylnością darzyli nas Kazachowie, których cztery rodziny mieszkały w sąsiedztwie. To oni uczyli nas życia w stepie, wiedzieli kiedy przyjdzie burza śnieżna, ostrzegali przed wyruszaniem wówczas w drogę, nieraz dali coś do jedzenia, choć sami nie wiele mieli. Na każdym kroku podkreślali, że oni wybornie opanowali życie na tym terenie, że znają przeróżne niespodzianki, które płała panująca tu pogoda. Legitymowali się przywiązaniem do swego języka, chociaż i rosyjski nie był im obcy, co umożliwiała nam kontakt z nimi. Krótkie to opisanie ich przyjaźni, ale zbliża do istoty problemu relacji międzyludzkich.

Wojna radziecko-niemiecka spowodowała, że w okolicach naszej wsi coraz częściej można było spotkać NKWD. Jak się później okazało, poszukiwali dezertersów z wojska, przeważnie Uzbeków, Tadżyków oraz Kirgizów i Kazachów, którzy przechodzili przez nasz step udając się w swoje strony rodzinne. Sam spotkałem kilku z nich w czasie pasienia czy też wędkowania. Brak żywności (nie było co sprzedawać), zmuszał nas do jedzenia wszystkiego, co tylko dało się zjeść. Jadło się różną zieleninę. Z „bakszy” znajdującej się nieopodal pieców do wypalania wapna, kradliśmy jeszcze niedojrzałe arbuzy i melony. Zielenina ta oraz panujący wirus spowodował masowe zachorowania wśród dzieci na krwawą dyzenterię. Do rozpowszechniania się tej choroby przyczyniło się jedzenie prosa nieczyszczonego.

W ośrodku zdrowia był felczer, który lepiej leczył bydło niż ludzi. W niedługim czasie zabrano go do wojska, a na jego miejsce przysłano pielęgniarkę. Ona też nic nie mogła poradzić, twierdziła, że nie ma żadnych lekarstw. Dziwiło nas, że dzieci miejscowe nie chorowały. W naszej ziemiance zmarły dzieci Maszy Rymaszewskiej. Zmarły też dzieci Nizinowej i wiele innych, a także kilka osób starszych wiekiem. Choroba oszczędziła mego brata Lutka. Może dlatego, że w naszej rodzinie były dwie osoby, które dbały o jednego malucha, a w innych

była tylko matka z dziećmi, które często były pozostawione bez opieki. Ja starałem się o jajka ptasie i ryby. Wspinałem się po skałach by je zabrać z gniazd i często wędkowałem. Za ryby otrzymywałem zawsze kawałek baraniny, koniny względnie trochę mleka. Choroba ominęła i mnie, chociaż teraz dziwię się, że jedząc często surową rybę (tylko posoloną) nie zachorowałem. A nieraz był to tylko jednorazowy posiłek.

Późną jesienią 1941 roku dotarła do nas wiadomość o tworzeniu się wojska polskiego i istnienia Ambasady Polskiej w Kujbyszewie. Potwierdziła to gazeta „Polska”. Gazetę tę otrzymaliśmy tylko raz. Wiadomość ta bardzo nas ucieszyła. Oczekiwaliśmy powrotu naszych bliskich z obozów i więzień. Zima 1941 roku niczym nie różniła się od poprzedniej. Wydawała się jednak bardziej surowa. Złożyło się na to nasze wyczerpanie i niedożywienie. Każdy z nas sporo stracił na wadze i był mniej odporny na mrozy. Coraz ktoś zapadał na zapalenie płuc i przychodzono do nas po bańki. Starsi nie wytrzymali tego klimatu i umierali. Zmarli tam dziadkowie Kucharczykowie i inni. Tej zimy nie tylko pilnowałem na bazie, ale razem ze starszymi jeździłem po siano w step by karmić nim wychudzone konie. Stogi znajdowały się od 7 do 12 kilometrów w głąb stepu. Za pierwszym razem odmroziłem policzki. Później było już lepiej, nabierałem doświadczenia i jakoś mi to szło. Najbardziej jednak bałem się wilków, które atakowały konie. Często słyszało się o tych grasujących wilczych watachach, które nigdy nie przepuściły okazji gdy na ich drodze pojawił się konny zaprzęg. Na szczęście ja takich spotkań nie miałem.

Jesienią 1942 roku zostałem skierowany do przyzakładowej szkoły (Fabriko – Zawodskoje Obuczenije) znajdującej się w miejscowości Kounrodzkij, miasta-kopalni i przeróbki rudy miedzianej. Kounrodzkij Miednyj Rudnik położony był około 2 km od odkrywkowej kopalni rudy miedzi i blisko większego miasta oraz jeziora Bałchasz. Cała okoliczna ludność zatrudniona była w kopalni, względnie w zakładach przeróbki rudy. Kopalnia należała w tym okresie do jednej z największych kopalni odkrywkowych i była pod specjalnym nadzorem NKWD. Obszarem obejmowała kilkaset hektarów ziemi. Była 6-poziomowa. Na każdym poziomie znajdowały się stanowiska maszyn wiertniczych, ekskawatów (koparka) oraz transport kolejowy.

W tej „przyzakładowej szkole” spotkałem Polaka Tadeusza Gołębiowskiego i losy połączyły nas na dłuższy czas. Skierowano nas na kurs maszynistów ekskawatów (koparek). Szkolenie ograniczyło się do kilku tygodniowej nauki teoretycznej, polegającej na 3 dniach nauki teorii i 4 dniach zajęć praktycznych, w charakterze pomocnika maszynisty. Pracowaliśmy na zmianę: 12 godzin w dzień i 24 godziny wolne, oraz 12 godzin w nocy i 48 godzin wolne. Te dni wolne były dla maszynisty, bo my w tym czasie szliśmy do szkoły. Do zadań moich, jako pomocnika maszynisty należało: posmarowanie wszystkich łożysk towotem (punktów było kilkadziesiąt łącznie z kilkunastometrowym ramieniem żurawia), a po przyjeździe koparki – podłożyć kamienie pod gąsienice, aby przy nabieraniu rudy, nie cofnęła się do tyłu oraz przerzucenie po skałach kabla elektrycznego o napięciu 3000 Volt zasilającego koparkę.

W kopalni, codziennie dochodziło do śmiertelnych wypadków, a przyczyna była jedna – zmuszanie do wyczerpanej pracy w myśl surowej zasady „wszystko dla frontu”. Zimą zachorowałem na „kurzą ślepotę”. Nie mogłem pracować nocą, tylko w dzień. Wieczorem odprowadzano mnie do baraku. Po

miesiącu zostałem wyleczony. Na wiosnę 1943 roku postanowiliśmy uciec z kopalni. Opracowaliśmy plan ucieczki, który polegał na przebyciu półpustynnego obszaru z miejscowości Kounrodzkij, w której byliśmy na przeszkoleniu w wspomnianej przyzakładowej szkole, do Karagandy pociągiem, gdyż obszar ten był nie zamieszkały i oddalenie się od linii kolejowej groziło śmiercią z braku wody i pożywienia. Słabo przygotowani do takiej podróży, po przebyciu kilku stacji, zostaliśmy zatrzymani przez milicję i odstawieni do kopalni. Tam nałożono na nas karę w postaci zakazu korzystania ze stołówki. Otrzymałmy dzienny przydział 500 gramów chleba i dowolną ilość gorzkiej kawy. Przy ciężkiej pracy fizycznej jaka wykonywaliśmy były to raczej wręcz głodowe, a pracować trzeba było ciężko. Obijanie się groziło posądzeniem o sabotaż, a za to groziła już kara odesłania do łagru. Dokarmialiśmy się zbieraniem odpadów żywnościowych w śmietnikach obok stołówki. Okres kary trwał jeden miesiąc.

Nieudana ucieczka, nie tylko, że nas nie zniechęciła, ale wręcz zmobilizowała do zorganizowania następnej. Przystudiowaliśmy dokładnie mapę okolic jeziora Bałchasz i terenów położonych po jego południowej stronie. Postanowiliśmy, że tym razem obejdziemy jezioro i udamy się do miasta Dżambuł i tam zgłosimy się do wojska. Zgromadziliśmy trochę prowiantu oraz wody i pewnego dnia nad ranem udaliśmy się wzdłuż jeziora w kierunku zachodnim. Trasa była bardzo trudna, piaszczysta, a my nie przygotowani do długich marszy. Po przebyciu ponad 100 km, napotkaliśmy osadę rybacką. Postanowiliśmy zgłosić się do pracy, aby zrobić sobie zapas żywności na dalszą drogę.

Przewodniczący spółdzielni rybackiej potrzebował rąk do pracy, gdyż mężczyźni w wieku od 18-65 lat zostali zmobilizowani do wojska. Przyjął nas do pracy mimo niepewności kim jesteśmy. W rozmowie z nami dał do zrozumienia, iż domyśla się, że jesteśmy uciekinierami z Bałchaszu i na podstawie naszych metryk urodzenia, kazał personalnemu wpisać na listę załogi spółdzielni. Tak rozpoczęliśmy pracę w spółdzielni rybackiej w osadzie Gulszad. Praca polegała początkowo na łowieniu ryb niewodem. Zarzucało się go z łodzi a łączące go liny umocowało się na lądzie do kołowrotek, poruszanych przez wielbłądy. Wieczorami wyjeżdżaliśmy na jezioro stawiać sieci tzw. drygawice, które rano zbieraliśmy. Pracowało się od świtu do późnej nocy. Odżywialiśmy się głównie rybami, gdyż tego można było jeść do woli. Obiad był przygotowany w kotle, wspólny dla wszystkich. Na kolację i śniadanie otrzymywaliśmy na cały tydzień suchy prowiant. Składał się on z bochenka chleba o wadze 2 kg, mąki 1 kg, konserwy mięsnej ½ kilogramowej.

Przepracowaliśmy w tej spółdzielni trzy tygodnie i po zrobieniu zapasów żywności, jeszcze przed świtem, ruszyliśmy w dalszą podróż. Szliśmy wzdłuż jeziora. Nie mogliśmy sobie pozwolić na oddalenie się od niego ze względu na pustynne tereny (głodowy step – rosły gdzieś kępki ostrej pustynnej trawy) i brak wody. Upał był niesamowity, a noce zimne. Wydawało nam się, że jest mróz. Nie chcąc iść do jeziora po wodę, pragnienie zaspakajaliśmy dziką cebulą rosnącą gdzieś na tych terenach. Rozpoczęły się nasze przygody, które dalekie były od przygód opisywanych w powieściach podróżniczych, ale których nie da się zapomnieć do końca życia. Nie tylko chłód zaczął się nam dawać we znaki. Pewnego dnia, nie mając przy sobie kompasu ani też wiedzy o kształcie jeziora odeszliśmy od niego zbyt daleko i po raz pierwszy odczuliśmy, co znaczy brak wody. Idąc przy blasku księżyca, ujrzyliśmy w dali błyszczącą

taflę jeziora. Skierowaliśmy się w tę stronę. W pewnym momencie poczuliśmy pod stopami błoto. Zdjęliśmy buty i natychmiast zaczęliśmy oddalać się od tej „wody”. Nogi poranione strasznie piekły. Nie wiedzieliśmy, co może być tego przyczyną. Położyliśmy się spać. Rano naszym oczom ukazała się biała tafla słonego jeziora, po którym jeździły spychacze zgarniając sól. Musieliśmy szybko opuścić niegościnnie teren, oddalając się i obawiając, abyśmy nie byli zauważeni przez pracujących tam robotników. Dopiero później dowiedzieliśmy się od Kazachów, że mogli nas zauważyć, ale nic by na pewno nie powiedzieli, gdyż byli to więźniowie.

Po trzech dniach podróży napotkaliśmy auł kazachski, składający się z kilkunastu jurt. Przyjęto nas z prawdziwie kazachską gościnnością. To tu właśnie zobaczyliśmy jak diametralnie różni się życie Kazachów mieszkających z dala od kołchozowych osad rosyjskich w których zarówno rytm pracy jak i codziennej rzeczywistości ma iście sowiecki charakter. Bałagan panujący w kołchozach, nieporządek w obejściu, góry jakichś odpadów, stare opony itp. obrazy znaleźliśmy już z obserwacji kołchozowego życia a także z pracy w kopalni. Tutaj natomiast w osadzie złożonej z jurt poznaliśmy lepiej Kazachów, ich staranność o wnętrze jurt, gościnność i życzliwość. Wszędzie kręciło się dużo dzieci, jak zwykle wścibskich i bacznie nas obserwujących. Kobiety krzątały się wewnątrz jurt, gdzie wokół ścian leżały kolorowe maty. Niektóre ubrane były we wzorzyste suknie długie jak szlafroki. Mieszkańcy aułu nie pytali kim jesteśmy i dokąd idziemy, jakkolwiek zapewne świetnie się domyślali, że jesteśmy uciekinierami. Przebywaliśmy tam do wieczora. Wieczorem właściciel jurty przygotował nam jedzenie i picie na drogę i kazał szybko opuścić auł, gdyż do przewodniczącego miejscowego kołchozu przyjechało dwóch funkcjonariuszy NKWD. Wskazał drogę jak należy opuścić auł, ażeby nie natknąć się na nich. Przy odejściu życzył nam szczęśliwego dotarcia do celu. Noc spędziliśmy w odległości 15 kilometrów od aułu. Zimny i silny wiatr zmusił nas do zaniechania podróży. Napotkaliśmy coś w rodzaju wypalonego domu bez dachu. Po obejściu dookoła, nie znaleźliśmy żadnych drzwi. Wleźliśmy do wnętrza przez mur. Pośrodku tego pomieszczenia rośla brzoźka. W świetle księżyca zobaczyliśmy, że rośnie ona w wgłębieniu, między dwoma wzgórkami. Położyliśmy się pod tę brzożkę, w tym zagłębieniu, ogrzewając się wzajemnie. Było cicho. Dawno tak dobrze żeśmy się nie wypali. Nie było wiatru i było nawet nam ciepło. Po obudzeniu i obejrzeniu tej „sypialni”, stwierdziliśmy, że spaliśmy w rodzinnym grobowcu., między dwoma mogiłami. Dobrze, że tego nie widzieli Kazachowie. Nic przyjemnego nie czekałoby nas z tego powodu. Zbaczycieliliśmy bowiem ich groby, a za to zapewne groziłaby nam jakaś kara. Wiele razy miałem możliwość przekonać się o tym, jak bardzo naród ten przywiązany jest do swojej tradycji i czci spokój zmarłych. sowiecka ateizacja tylko nominalnie wyrugowała stare zwyczaje i obyczaje, tradycyjne święta i obrzędy. Faktycznie Kazachowie byli nadal wiernymi orędownikami swych tradycji, która przyciągała również naszą uwagę. Na fakt jej niwelacji nie miały wpływu przebiegłe rachuby polityków sowieckich w szerokiej nieraz współpracy z kazachskimi komunistami.

Po kilku dniach dalszej wędrówki zaczął nam doskwierać głód. Tym razem nie oddalaliśmy się od jeziora. Udało nam się złowić kilka raków, które ugotowaliśmy w kociołku. Następnego dnia upolowaliśmy żółwia. Upiekliśmy go w jego własnej skorupie. Bardzo nam smakował, czy dlatego, że byliśmy

bardzo głodni, czy też naprawdę mięso żółwia jest tak smaczne? Na drugi dzień dotarliśmy do rybackiej osady Saryszagon, położonej niemal po przeciwległej stronie jeziora, w punkcie, z którego według planu mieliśmy opuścić jezioro i udać się na południe w kierunku Dżambułu. W osadzie pełno było stelaży do suszenia ryb. Na niektórych widać było jak się suszą. Nie posiadaliśmy żadnych dokumentów poza świadectwami szkolnymi. W drodze odcięliśmy stopnie, pozostawiając dane personalne z okrągłą pieczętką szkoły. Z tymi dokumentami zgłosiliśmy się do kierownictwa spółdzielni. Brak rąk do pracy spowodował, że nie zadawano pytań, a podane „dokumenty” uznano za wystarczające. Robotnicy domyślali się, że jesteśmy uciekinierami mimo to odnoszono się do nas z przyjaźnią. Zaakceptowali nasz pobyt, szybko też zdobyliśmy ich zaufanie, chociaż przyznać muszę, że nie wiele ich interesowało skąd i dokąd idziemy.

W tej i poprzedniej spółdzielni rybackiej, kierownictwo i pracownicy byli narodowości kazachskiej. Praca nasza polegała na transporcie ryb do suszarni. Trwała od 6 rano do godziny 19-tej z godzinną przerwą obiadową. Obiad był wspólny dla wszystkich i składał się z zupy z wkładką mięsa. Na kolację i śniadanie otrzymywaliśmy suchy prowiant. Po kilkunastu dniach, po dojściu „do normy” i zgromadzeniu odpowiedniego zapasu żywności w postaci chleba, mąki i suszonych ryb, nocą udaliśmy się w dalszą podróż. Od Kazacha otrzymaliśmy pęcherz na wodę, zwierzyliśmy się bowiem jemu z celów naszej podróży. Słuchał nas uważnie, ba nawet przestrzegał przed niebezpieczeństwem sugerując nam dalszą trasę wędrówki, na której istniało małe prawdopodobieństwo spotkania patroli milicji czy NKWD. Tak więc opuszczaliśmy gościnną bazę rybacką nad jeziorem, a nasza trasa wiodła na południe do Dżambułu. „Droga” na południe to wśród gliniasto-piaszczystego terenu ślad wskazujący na to, że raz na kilka miesięcy coś tędy przejeżdżało. Zdecydowaliśmy się nią iść, gdyż liczyliśmy na napotkanie po drodze źródeł wody i małe prawdopodobieństwo spotkania stróżów bezpieczeństwa.

Po kilku dniach marszu, kiedy zapasy wody wyczerpały się, późnym wieczorem napotkaliśmy wodę źródlaną. Poczekaliśmy do rana, gdyż po ciemku baliśmy się schodzić do jej źródła. Droga do wody prowadziła do jaskini leżącej około 50 metrów w głębi ziemi. Woda była zimna i krystalicznie czysta. Nabraliśmy jej cały pęcherz oraz w kociołki. Ugotowaliśmy z zapasów „mamałygę”, do której wrzuciliśmy trochę suszonych ryb. Ruszyliśmy w dalszą drogę, dokładnie moczając uprzednio całą naszą odzież bo upał był niemiłosierny. Po drodze napotkaliśmy krzewy saksaułu. Korzenie tych krzaków, jak twierdzili Kazachowie, sięgają około 200 metrów w głąb ziemi. Są one tak twarde, że zrobiony z nich gwóźdź można wbić w inne drzewo. Suszonymi korzeniami tych krzewów opalano lokomotywy wąskotorowe. Ze względu na upały częściowo zmieniliśmy godziny marszu. Po napotkaniu krzaków saksaułu odpoczywaliśmy w ich cieniu, a wyruszaliśmy w dalszą drogę gdy robiło się zimniej. Znow skończyły się zapasy wody i żywności. O ile bez jedzenia można wytrzymać, o tyle bez wody jest to męczarnia. Gdy sytuacja stawała się tragiczna, uratowała nas ulewa tropikalna. Nagle przyszła i nagle odeszła. Pozwoliła nam jednak napełnić kociołki. Innego razu, gdy skończyła się woda, pragnienie ugasiłmy odcedzając wodę z napotkanego po drodze bagienka pełnego kijanek. Woda błotna była bardzo gorzka, ale pozwoliła zaspokoić pragnienie. Bogu dzięki nie zachorowaliśmy. Dalszy marsz bez wody, powodował halucynacje. Wspieraliśmy się

wzajemnie w tym marszu, mimo że trudno nam było rozmawiać, a usta i gardło były suche. Zwilżaliśmy więc moczem wargi i usta. Szliśmy już bardzo wolno. Wlekleśmy się jednak dalej. U schyłku dnia siedliśmy znów pod krzakiem saksaułu i postanowiliśmy, że dopiero jutro nad ranem ruszymy w dalszą drogę gdy noc nas trochę ochłodzi.

Obudził nas ziąb. Ruszyliśmy, początkowo trochę raźniej, lecz po paru godzinach chęć marszu opadła. Było gorąco. Szliśmy bardzo wolno. W pewnym momencie usłyszeliśmy rechot żaby. Zobaczyliśmy ją siedzącą w głębokim rowie. Nigdzie nie widać było wody. Usiedliśmy nad tym rowem i wypoczywaliśmy. Nagle usłyszeliśmy szum wody, a później zobaczyliśmy ją przesuwaną się po rowie jak nawałnica. Był to bowiem kanał nawadniający. Piliśmy tę brudną, brunatną wodę, kąpaliśmy się i myli. Tak oto przeszliśmy ten straszny „głodowy step”, jak go nazywają Kazachowie. Przejście przez tę piaszczysto-gliniastą pustynię zaliczam do moich wielkich sukcesów. Tylko woda życia pozwoliła nam przetrwać. Po krótkim wypoczynku i wysuszeniu odzieży, ruszyliśmy wzdłuż kanału w kierunku wsi. Byliśmy bardzo zmęczeni tą wędrówką po bezdrożach ale przygoda trwała nadal. Zastanawialiśmy się co czeka nas w zbliżającej się wsi. Czy odesłanie do kopalni, a może do łagru? Żywioł tych złych myśli został jednak opanowany. Pragnienie wolności i pragnienie walki stało się znaczącym dla nas pokrewieństwem. To pozwalało przejść wszelkie odmiany losu i przeciwności życiowe w tej drodze „ku wolności”! I uczucie to mieszało się w naszych myślach, czas miniony znaczony ciężką pracą w kopalni powracał znowu, był bliski, jak uczucie przestrzeni przez którą wędrowaliśmy przez tyle dni. Sugestywna moc perspektywicznej wizji wolności była z jednej strony naszą siłą, z drugiej w imię tego celu stale sił nam dodawała! Wspomnieć tu trzeba, że pora naszej wędrówki, zwłaszcza jej końcówka przypadła na okres największego natężenia upałów w tym bezludnym stepie. Stanowi to niewątpliwie świadectwo naszej determinacji w dostaniu się do polskiego wojska, rzecz można motywowanej głęboko patriotycznymi uwarunkowaniami wyniesionymi z rodzinnych domów, szkoły i otoczenia, w którym wyrastaliśmy. Ogrom doświadczeń i ich różnorodność towarzyszyła nam w tej drodze. Nie sposób nie dodać, że nieraz zastanawialiśmy się nad tym czy rozsądnie postąpiliśmy wybierając tę formę dostania się do polskiego wojska. Odwrotu jednak nie było, trzeba było iść dalej. Wiedzieliśmy bowiem, że jeśli nas złapią lub czy wrócimy sami czekała nas kara o wiele surowsza niż tylko pozbawienie wyżywienia, jak było to poprzednio. Wreszcie na horyzoncie pojawiła się jakaś wieś, a wraz z nią niepokój, byliśmy przecież uciekinierami z kopalni.

Wieś do której przyszliliśmy nazywała się Ułanbel. Znajdowały się w niej władze powiatowe. Zgłosiliśmy się więc do Wojenkomatu z prośbą o skierowanie nas do polskiego wojska. Komendant kategorycznie był przeciwny i żądał informacji na temat skąd uciekliśmy? My uprzednio ustaliliśmy, że „po trupach”, a nie powiemy. Nie po to przeszliśmy pustynię, żeby wracać do kopalni. Do rozmowy włączył się drugi oficer, pochodzenia kazachskiego, który uważnie słuchał naszych wynurzeń związanych z chęcią niesienia pomocy oddziałom walczącym z niemieckimi faszystami. To podkreślenie z faszystami było ważne, bowiem było odbiciem miejscowej propagandy mówiącej o faszystach niszczących radziecki kraj, w którym teraz obowiązywała zasada „wszystko dla frontu”. Ów Kazach słuchając naszej opowieści odwiódł swego szefa od

prowadzenia dochodzenia i zatrzymania nas do wyjaśnienia. „Czegoś się do nich przyczepił. Chcą iść na front, niech idą. Chcą bić faszystę, a nie uciekają od poboru. A to, że trochę za młodzi – napiszcie chłopcy inny rok urodzenia”. Trzeba przyznać, że nasz kazachski obrońca posiadał zapewne świadomość faktu, że nieco przesoliliśmy w tej opowieści.

Tak więc wypełniając stosowne kwity stałem się doroślejszy, nadający się już do wojskowej służby. Od tego momentu do dnia dzisiejszego, we wszystkich dokumentach jestem o jeden rok starszy. Ale nie tylko to uległo sfalszowaniu w moim życiorysie. Podałem bowiem wówczas, że ojciec mój ciężko pracował jako robotnik kolejowy w Stołpcach i często mu pomagałem, to było mile widziane, że było się robotnikiem, a nie jakimś tam „polskim panem”. Czyniło to w sposób przekonujący i rzeczowo uzasadniony nasze dążenie do walki z niemieckimi faszystami. Uproszczeniem byłoby twierdzenie, że kolejne fazy mojej drogi do Polski były zbyt łatwe. Niemniej jednak tę ponad 900. kilometrową wędrówkę przez tzw. głodny step nie zapomnę nigdy, toteż poświęciłem jej nieco uwagi. Napisałem też temu oficerowi z „Wojenkomatu”, że na terenach rosyjskich znaleźliśmy się na skutek ucieczki przed Niemcami, ukrywając fakt, że byliśmy deportowani jako „wrogowie ludu” i „polskije pany”, jak często nas nazywano deportowani. Gdy to mówiłem przy różnych okazjach np. w „Wojenkomacie” robiło to dobre wrażenie bo teraz niemiecki najeźdźca był największym wrogiem ZSRR. Zdawałem sobie sprawę z różnych pułapek czyhających podczas takich rozmów więc wcześniej układałem sobie plan odpowiedzi na pytania, które mogły być mi zadawane przy wszelkiego rodzaju kontaktach z milicją, NKWD czy innymi władzami. Pozwoliło mi to wreszcie na wyrwanie się z Syberii i wyruszyć na żołnierski szlak do Polski, na którym spotkałem podobnych do mnie nieszczęśników, z których część została po drodze w żołnierskich mogiłach, nawet już na terenie Polski, z której wywieziono mnie jako podrostka, a do której wróciłem jako żołnierz.

Z Wojenkomatu gdzie wspomógł nas wspomniany Kazach otrzymaliśmy skierowanie do mitycznego dla nas Dżambułu. Tam mieliśmy się zgłosić na komisję poborową. Tym razem dalszą naszą podróż przez pustynne tereny Kazachstanu odbywaliśmy pociągiem. Podczas podróży wąskotorówką na platformie towarowej, obserwowaliśmy tę dziką nieprzebytą przestrzeń, którą w duchu tak przeklinaliśmy. W taki oto sposób wydostaliśmy się z sytuacji, z której mało kto wyszedł. Przeszliśmy trasę liczącą ponad 900 kilometrów. Nasz uciążliwy marsz, z przerwami na pracę w rybackich osadach trwał około 3 miesięcy i szczęśliwie zakończył się w lipcu. Zostałem więc żołnierzem o czym powiadomiłem pozostawioną mamę i brata.

Moja ucieczka z kopalni rudy miedzi przysporzyła mamie sporo kłopotów, o których opowiedziała mi, gdy spotkaliśmy się po wojnie. Zaczęły się wówczas częste wizyty przedstawicieli NKWD i pytania: „Gdzie syn?” Mama odpowiadała stale z jednakowo szczerą prawdą: „wyście go zabrali i wy wiecie gdzie on jest”. Po kilku takich wizytach dano jej spokój. „Opiekę” nad mamą powierzono przewodniczącemu kolchozu, wrogowi Polaków, który wrócił z frontu bez nogi, ten sam, który w 1940 roku nas „witał” jako „wrogów ludu”. Dopiero mój list z wojska pozwolił jej odetchnąć z ulgą. Wiedziała, że żyję, a jako matka żołnierza z frontu nie obawiała się już wizyt NKWD i wścibskiego towarzysza Kononienko. Tu warto podkreślić, że żywą częścią tamtejszych sto-

---

sunków społecznych był fakt oddawania szacunku dla tych rodzin, których członkowie znajdowali się na froncie walcząc „za rodzinu”.